



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

Express Wieczorny
DC

02-017 WARSZAWA
Al. Jerozolimskie 125/127

wydanie

2 3 5

2 8 -10- 75

Nr

665

Pisane z zalem

Teatr Powszechny — „Bel-Ami i jego sobowtór” Luciano Codignoli, przekład Joanna Walter, reżyseria Giovanni Pambiglione, scenografia — André Acquart.

Wszystko jest względne, zwłaszcza wielkość sztuki. Świadomość tego akjomatu każe mi nieraz, gdy jako krytyk stykam się z dziełem, które osobiście uznaję za fatalne, szukać przesłanek powodujących artystę, co dzieło stworzył. I nie intencji (te zawsze bywają zubożne!), a właśnie rozumowych przesłanek. Gdy je odcyfruję, zdarza mi się inaczej spojrzeć na dzieło, które



w pierwszym patrzaniu jedynie drażniło.

Nie mogę dotrzeć do przesłanek, co kazały dyrekcji Teatru Powszechnego wystawić sztuczdyło Luciano Codignoli. Znam od lat i wysoko cenię artystyczną wrażliwość, dojrzałość, takt dyr. Zygmunta Hübnera. Kilka razy nie zgadzałem się z jego szczegółowymi propozycjami — był to zawsze spór o wartości wymierne. O „Bel-Ami i jego sobowtóra” spierać się nie sposób i nie warto. Sztuka to dość banalne streszczenie znanej powieści Maupassanta, faszzerowane scenkami z biografii samego powieściopisarza.

Streszczenie jest tandetne, farsz za to piekielnie pretensjonalny — całość bije rekordy złego smaku. Niechlujstwo stylistyczne, językowe nieporadności każą stwierdzić, że ma w tym wszystkim znaczny udział i tłumaczka (Joanna Walter). Nie znając oryginalnego tekstu trudno wymiar tego udziału określić — znając „Panią Bovary” oraz „Baryleczkę”, trudno przecież uwierzyć, że dwóch jegomości, co do siebie helkoczą — w tekście Codignoli — to słynni stylisci — Flaubert i Maupassant.

Talent występujących w spektaklu aktorów potrafi ich częściowo wybronić ze szlamu quasi-literatury. Starają się tworzyć sytuacje obok tekstu, poza tekstem, wbrew tekstowi. Stwarza to w przedstawieniu dodatkowy element niespójności, ale pozwala zachwycać się inwencją Wojciecha Pszoniaka, Gustawa Lutkiewicza, Mirosławy Dubrawskiej, Elżbiety Kępińskiej, Joanny Żółkowskiej, Ewy Dąkowskiej. Nie wszystkim, niestety, zakres zadań na inwencję zezwolił. Za to importowany z Paryża scenograf unaoczniał nam, jak dumni być możemy z poziomu scenografów własnych.

I to wszystko na scenie, w której powstawaniem tak wiele wiązaliśmy nadziei. Osobiście żywię je zresztą nadal. Porażki startu mają w sobie coś z kokluzy: trzeba to po prostu w pewnym momencie odchorować. Jestem pewien, że Zygmunt Hübner i jego aktorzy już wkrótce dadzą stołecznym teatrom powody do szczerzej satysfakcji.